GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 CZERWCA 1937 R.

Nr. 11 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 11
1937 R.
1 — VI

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

‚DEMOKRACJE" I „DYKTATURY"

Polityczny podział świata według systemów rządzenia zaprowadzonych w poszczególnych krajach odpowiada nieomal całkowicie gospodarczemu podziałowi bogactw na kuli ziemskiej i wynikającemu zeń odmiennemu systemowi rozwojowemu gospodarstw narodowych, należących do tej czy innej grupy.

Kiedy obywatel kraju o niskim dochodzie społecznym, kraju o nieuregulowanych drogach rozwojowych gospodarstwa narodowego, kraju — mówiąc krótko — t. zw. Europy B., znajdzie się przez czas dłuższy na Zachodzie Europy — właśnie w „Europie A.", odczuje i stwierdzi jasno zupełnie, jak głęboka „linia podziału" powstała w ostatnim okresie pomiędzy krajami posiadającymi i nieposiadającymi. Zastanawiając się głębiej nieco nad przyczynami wyrazistości tej linii, stwierdza on wreszcie, iż w gruncie rzeczy istniała ona przecież i dawniej — lecz po prostu mniej na nią zwracano uwagi. Dopiero wielki kryzys gospodarczy świata wycisnął tak silne piętno na niektórych „proletariackich" organizmach gospodarczych naszego kontynentu, że różnica pomiędzy nimi a organizmami „posiadającymi" ujawniła się za jednym zamachem bardzo jaskrawo. Formy rządów, jakie wynikły w krajach ubogich na skutek właśnie ubóstwa tych organizmów gospodarczych, różniły się od form, ustalonych w krajach „posiadających", już i przed kryzysem. Wyraźne przeciwieństwa (jeśli nie jaskrawe konflikty...) dały się jednak poznać pomiędzy formami temi dopiero w okresie, kiedy owe linie podziału stały się szczególnie dobitne. Dziś stanowią one punkt wyjścia dla rozumowań przeciętnego obywatela krajów „Europy A." (w co włączamy zresztą i Stany Zjednoczone), obywatela, który — jak wszyscy przeciętni obserwatorzy stosunków międzynarodowych — rozumuje wybitnie politycznie, i stąd, biorąc skutek za przyczynę, dzieli zgrubsza wszystkie kraje świata na dwie wielkie grupy: „demokracje" i „dyktatury".

Zaznaczyliśmy już powyżej, że formy ustrojowe w poszczególnych krajach są dziś istotnie ściśle związane z poziomem dochodu społecznego w poszczególnych organizmach gospodarczych, tym krajom odpowiadających. Ustroje demokratyczne, ustroje, gdzie opinia publiczna (wszystko jedno przez kogo i jak inspirowana...) ujawnia dobitnie swój wpływ na rządy krajem, istnieją wyłącznie w organizmach o wysokim dochodzie społecznym. Mówiąc potocznie, demokracja stała się już wyraźnie w dzisiejszym okresie „luksusem", na który pozwolić sobie może tylko naród zamożny. Demokracja „kosztuje" majątek lub dochód społeczny każdego kraju więcej, niż by go kosztowała (teoretycznie...) inna, bardziej autorytatywna forma ustrojowa. Jest to zresztą zupełnie naturalne. Demokracja wyjaskrawia i podkreśla interesy gospodarcze poszczególnych grup ludności jednego organizmu gospodarczego i, jako taka, wyraźnie wpływa na przemiany w rozdziale

dochodu społecznego w obrębie tego organizmu *niezależnie* od tego, czy istnieją objektywne przesłanki dla dokonywania tego rodzaju przemian właśnie w tym określonym czasie. Dajemy przykład: żadne objektywne rozumowanie gospodarcze nie pozwoliło by Francji w obecnej jej sytuacji gospodarczej na wprowadzanie tego rodzaju reformy jak 40-o godzinny tydzień pracy w przemyśle. Niemniej jednak demokratyczna forma rządów ujawniona w dojściu do władzy Frontu Ludowego reformę tę przeprowadziła. W wyniku reformy tej majątek narodowy Francji ulegnie bezsprzecznie pewnemu skurczeniu się. Nie dyskutujemy, czy będzie to istotnie tak wielkim nieszczęściem dla Francji, jak to niektórzy przypuszczają. Chodzi nam tylko o stwierdzenie, iż w warunkach wielkiego bogactwa, w jakich żyje Francja, *możliwa* jest forma rządów demokratycznych ze wszystkiemi konsekwencjami, jakie z formy tej wypływają. Tam, gdzie tego poziomu dochodu społecznego brak, w ogóle nie może być mowy ani o samej demokratycznej formie rządów ani o gwałtownych przemianach w podziale dochodu tego *w tej postaci*, w jakiej to przy tej właśnie formie jest możliwe.

Znane jest powszechnie twierdzenie — najzupełniej zresztą, naszym zdaniem, słuszne — iż działalność każdego rządu w dziedzinie gospodarczej, a więc to, co nazywamy polityką gospodarczą rządu, skierowywane jest zawsze ku jednemu z dwuch zasadniczych celów: utrzymania niezależności państwa i podniesienia poziomu życia ludności. To zróżniczkowanie jest naszym zdaniem, tem konieczniejsze, iż, jakkolwiek w celu ostatecznym każda polityka gospodarcza mierzy w podniesienie poziomu życia ludności państwa, którym rządzi, to jednak hierarchja celów jest inna w krajach o wysokim dochodzie społecznym i w krajach, gdzie dochód ten jest niski. W tych drugich właśnie, a więc tam gdzie organizm gospodarczy państwa nie pracuje z pełną rentownością ogólną, istnieją w zarodku pewne tendencje odśrodkowe, zmuszające politykę gospodarczą rządu do zajmowania się raczej zabezpieczaniem *„w ogóle“* interesów gospodarczych tego organizmu, a mniej — z natury rzeczy — interesami poszczególnych grup społecznych. Twierdzenie to nie jest zresztą zupełnie ścisłe. Nieomal zawsze polityka gospodarcza kraju ubogiego musi dojść do wniosku, iż *jednocześnie* z zabezpieczaniem interesów całości gospodarstwa społecznego w danym organizmie musi iść zabezpieczanie w nim mniej więcej równego podziału dochodu społecznego. Zdawałoby się zatem pozornie, iż pomiędzy polityką gospodarczą krajów ubogich i bogatych nie ma znów tak wielkich różnic, skoro obie one dążą przecież do podniesienia poziomu życia ludności — tej części ludności, której poziom życia pozostaje w tyle za poziomem życia reszty. A przecież różnica ta jest bardzo wielka.

Polega ona na tem, iż w kraju ubogim polityka podnoszenia poziomu życia ludności jest tylko *funkcją* zasadniczego celu polityki gospodarczej, której głównym celem jest i musi być zawsze dążenie do zabezpieczenia niezależności politycznej i gospodarczej państwa. Samo dążenie do tego celu wskazuje, iż w kraju ubogim niezależność ta nie jest jeszcze faktem dokonanym, że należy ją bądź dopiero osiągnąć, bądź — jak niektóre wypadki wskazują — ją ochraniać, gdyż inaczej naturalna presja interesów krajów bogatych wyciśnie na niej swe piętno. W krajach bogatych natomiast polityka skierowana ku podniesieniu poziomu stopy życiowej ludności jest celem samym w sobie. Niezależność polityczna i gospodarcza jest ugruntowana oddawna (w olbrzymiej mierze siłą faktu samego bogactwa danego kraju) i chronić jej w zasadzie niepotrzeba. Pewien odsetek dochodu społecznego przeznaczany rok rocznie na obronę kraju wystarcza dla osiągnięcia tego celu w zupełności. Nawet przegrana wojna, nawet utrata prowincji nie mogą zmienić faktu, iż kraj taki, gdzie wysoki dochód społeczny ludności pociągnął za sobą już oddawna równie wysoki poziom kultury, uświadomienia narodowego itp., nie może w ogóle utracić swej niezależnej egzystencji inaczej, jak w drodze dobrowolnej unii z innym krajem. To też polityka gospodarcza takiego kraju może myśleć już tylko i wyłącznie o *bezpośrednim* oddziaływaniu na podnoszenie stopy życiowej tych mas, których udział w dochodzie społecznym jest stosunkowo mniejszy. Brak wielkich zadań obronnych w stosunku do państwa jako całości może uwolnić kraj taki od konieczności posiadania silnego i zwartego rządu. Raczej odwrotnie — rząd powinien być w takim wypadku *emanacją interesów* większości ludności. O te interesy przecież chodzi przede wszystkim. Pole dla ustroju demokratycznego jest otwarte.

Rządy autorytatywne w krajach o niskim dochodzie społecznym oddziaływują na podnoszenie stopy życiowej ich ludności — *pośrednio*. Wychodzą one z założenia, iż przede wszystkim w interesach wzrostu tej stopy życiowej leży pełna niezależność danego kraju — niezależność nie tylko polityczna ale i gospodarcza. Wszelka zależność jednego czy drugiego typu wyrazić się musi na terenie gospodarczym w mniejszej czy większej eksploatacji danego kraju przez organizmy gospodarczo silniejsze, w pochłanianiu części tak już niewielkiego skądinąd majątku narodowego przez zagranicę. Zależność polityczna wyklucza w ogóle możność przeciwdziałania takiej eksploatacji. Zależność gospodarcza utrudnia przeciwdziałanie to w znacznej mierze. Nie ma potrzeby dodawać, iż współpraca z kapitałem zagranicznym nie ma w zasadzie nic wspólnego z jakąkolwiek zależnością gospodarczą, o ile warunki, na jakich kapitał ten pracuje w danym kraju, przyczyniają się do zwiększania a nie do zmniejszania majątku narodowego.

Dopóki niezależność polityczna i gospodarcza nie została ugruntowana w sposób niewątpliwy (a nie sposób dokonywać tego w okresie jednego pokolenia...), kraj musi mieć rząd silny i zwarty, rząd, ingerujący w znacznym stopniu w interesy gospodarcze jednostek, w imię tych właśnie naczelnych celów, stojących w hierarchii wyżej od interesów poszczególnych grup społecznych. W tym stwierdzeniu zamyka się podstawa istnienia „dyktatur“. Ale niesłychanie powierzchowne i nieodpowiadające prawdzie jest tak rozpowszechnione w szerokiej opinii publicznej krajów „demokratycznych“ twierdzenie, iż „dyktatura“ oznacza reakcję społeczną. Przedstawianie w prasie tych krajów doli proletariusza niemieckiego czy włoskiego jako gorszej od doli tegoż

proletariusza we Francji czy Anglii na skutek „dyktatorskiej“ formy rządów w Niemczech czy Włoszech polega na świadomej propagandzie politycznej. Że dola ta jest gorsza, o tem — oczywiście — trudno wątpić. Ale, że gorsza jest przede wszystkim dlatego, że ogólny dochód społeczny w tych krajach jest niższy od dochodu we Francji czy Anglii — to również pewne. Można na to odpowiedzieć, iż nawet przy tym niższym dochodzie społecznym dola ta mogłaby być lepsza, gdyby nie zbrojenia Hitlera czy wyprawa abisyńska Mussoliniego. Ale tu właśnie dochodzimy do oceny owej zasadniczej hierarchii najwyższych celów państwowych, gdzie uzyskanie i obrona pełnej niezależności politycznej i gospodarczej musi iść przed doraźną troską o poprawę stopy życiowej żyjącego w danej chwili pokolenia.

Ponieważ tak właśnie jest, rządy krajów „dyktatorskich“ muszą się starać o to, aby świadomie wyrównać w tej mierze, w jakiej się da, pozbawienie szerokich mas swej ludności owej części dochodu społecznego przeznaczonego na bardziej trwałe i dalekie cele. Dlatego też rządy prawdziwie „dyktatorskie" nie tylko nie reprezentują reakcji społecznej ale starają się — przeciwnie — o kierunek biegunowo przeciwny. Zadanie ich jest tutaj, oczywista, o wiele trudniejsze niż tzw. lewicowych rządów w krajach „demokratycznych“. Tym wystarcza stopniowe czerpanie z tej części dochodu społecznego, jaka przypada w nich klasom „posiadającym“, i przelewanie mniejszych czy większych ilości na rzecz mas proletariackich. W myśl maksymy socjalistów w krajach Europy A. „bierze się pieniądze tam, gdzie się znajdują". Polityka gospodarcza krajów ubogich z jednej strony nie posiada do rozporządzenia swego takich środków, z drugiej — nie może w imię interesów całości organizmu gospodarczego *ulegać naciskom* poszczególnych grup ludności. Dlatego też z jednej strony stara się ona zastąpić korzyści czysto materialne moralnemi lub pół-materialnemi (propaganda, opieka nad robotnikiem, organizacja wypoczynku itd.), z drugiej — wychodzi ona, nie czekając na żądania czy naciski, *naprzeciw* spodziewanym żądaniom czy odruchom. Potrzebna jest do tego wielka znajomość charakteru narodowego, prądów, panujących w tych środowiskach, zbliżenie się szerokim frontem do mas i wciągnięcie ich samych do frontu rządzącego. Polityka społeczna zajmuje w krajach „dyktatorskich“ olbrzymie miejsce w całokształcie polityki gospodarczej. Żadna „dyktatura“ nie mogłaby się ostać, gdyby chciała być aspołeczną.

Oczywiście — nie dość na tem. Mówiliśmy już, że jednocześnie z zabezpieczaniem interesów całości gospodarstwa społecznego w kraju o niskim dochodzie społecznym, polityka gospodarcza kraju tego stara się zawsze o bardziej równomierny rozdział tego dochodu. Nie tylko dlatego, że jest to koniecznym warunkiem zespolenia się tzw. rządu autorytatywnego z masami. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż tylko w ten sposób (o ile odrzuci się a limine możliwość jaskrawej eksploatacji klasy proletariackiej, co przeczy wprost założeniom systemów autorytatywnych) osiągać można stopniowo *wzrost* dochodu społecznego — mimo objektywnie trudnych warunków, istniejących dla tego wzrostu. Doraźne cele polityczne łączą się tu w jedno z zasadniczą linią polityki gospodarczej „na długą falę“.

*

Pragnęliśmy w tych kilku uwagach ogólnych, które niejednokrotnie są tak oczywiste, że zakrawają nawet na „prawdy pana de la Palisse“, ustalić jedyne właściwe, zdaniem naszym, rozgraniczenie pomiędzy owemi dwiema formami rządów, zarysowującemi się obecnie tak widocznie w stosunkach międzynarodowych. Pragnęliśmy stwierdzić, że są one wyłącznie funkcją rozwoju gospodarczego i zamożności poszczególnych krajów. Wszelkie próby odstępstwa od tej zasady („rexizm“ w Belgii zakrawał przez pewien czas na tego rodzaju fenomen...) kończyły się dotychczas niepowodzeniem. Ani Mosley w Anglii ani de la Rocque we Francji nie mają gruntu pod nogami tak, jak go nie mieli liberali czy socjaliści w Niemczech i we Włoszech. Komunizm rosyjski po przejściu ewolucji ostatnich lat różni się obecnie *w gruncie rzeczy* od ustrojów „faszystowskich“ z jednej strony drogą, którą poszedł, a której ustroje te uniknęły, z drugiej — ludźmi, a dokładniej — środowiskiem, które go wytworzyło. Że i to środowisko się silnie zmienia, o tem procesy moskiewskie i widmo trockistowskiej IV Międzynarodówki świadczą najlepiej.

HENRYK PNIEWSKI

EKONOMIA JEDNOSTKI, EKONOMIA ZBIOROWOŚCI

Pewne analogie między ekonomią, a mechaniką i fizyką mają wartość heurystyczną, pod warunkiem, że korzystając z podobieństw obu dziedzin nie będziemy zapominali i o głębokich różnicach.

1. *Punkt wyjścia.*

W numerze 7—8 b. r. „Gospodarki Narodowej“ ukazała się notatka p. t. „Mikro- i makro-ekonomia“. Autor tej interesującej notatki zwrócił w sposób fragmentaryczny i przykładowy uwagę na pewne doniosłe analogie między gospodarką indywidualną i światem mikrofizyki z jednej, a gospodarstwem narodowym i dziedziną makrofizyki z drugiej strony. Temat, poruszony przez pana *c. k.*, posiada subtelny, pociągający „smak” teoretyczny i stwarza miłą okazję do wypowiedzenia paru zasłużenie ironicznych słów pod adresem tych wszystkich polityków gospodarczych, którzy nie odróżniając mikro- od makro - ekonomii, sądzą, że zasady państwowej polityki gospodarczej pokrywają się z zasadami prowadzenia np. sklepiku z wodą sodową. To małomieszczańskie rozumienie gospodarstwa narodowego jest nie tylko rażące dla teoretyka, „razi” ono i szerokie rzesze obywateli zgoła nie teoretyzujących, po przez „świetne” rezultaty gospodarczo-polityczne. Temi paroma uwagami pragnąłbym usprawiedliwić nawrót do tematu w „Gospodarce” już omówionego i to w tak bardzo nie odległym czasie.

2. *Pojęcia zasadnicze.*

Podstawową rolę w całokształcie nauk odgrywa pojęcie *zbioru*. Matematycy od lat kilkudziesięciu zdają sobie dokładnie sprawę z wyjątkowej doniosłości tego pojęcia. Specjaliści naukowi innych dziedzin słabiej sobie z tego zdają sprawę, nie umieją często operować poprawnie i wprawnie pojęciem zbioru, co więcej nieraz tak słabo znają samo pojęcie, że zamiast terminu „zbiór” używają terminu (wieloznacznego zresztą, ale w każdym razie co innego oznaczającego) „suma”.

W rozważaniach naukowych często mamy do czynienia z indywiduami, zbiorami indywiduów i zbiorami zbiorów indywiduów (mówimy też „klasami zbiorów indywiduów”). Możemy np. traktować poszczególne podmioty gospodarujące jako indywidua, gospodarstwa narodowe — jako zbiory podmiotów gospodarujących, za tem — jako pewne zbiory indywiduów, a gospodarstwo światowe — jako zbiór wszystkich gospodarstw narodowych, czyli — jako pewną klasę zbiorów indywiduów.

Zwróćmy teraz uwagę na pewne indywidua, mianowicie na tak zwane „punkty”. Termin „punkt” jest dwuznaczny („dwuznaczny” w dosłownym słowa tego znaczeniu, a nie w sensie stosowanym wtedy, gdy mowa o „kawałach”, czy „powiedzonkach” treści erotycznej). Ustalmy pierwsze znaczenie terminu „punkt”; okaże się ono zresztą zbędne w dalszych rozważaniach gospodarczych, ustalimy je tu jednak, gdyż dopomoże ono do łatwiejszego uchwycenia znaczenia drugiego. Przez „punkt” będziemy narazie rozumieli „przedmiot, nie posiadający części“. Tę niepodzielność należy jednak odpowiednio rozumieć. Jedno i to samo indywiduum może być na gruncie jednej teorii uważane za punkt, w drugiej zaś za przedmiot podzielny. Dowolny egzemplarz rodzaju ludzkiego nie będzie punktem dla anatoma, może być natomiast uważany za punkt przez demologa, czy ekonomistę. Gospodarstwo narodowe można traktować jako zbiór indywiduów w teorii gospodarczej, zajmującej się jego wewnętrzną strukturą i jego wewnętrzną działalnością, to samo gospodarstwo narodowe może być traktowane jako indywiduum i to nie podzielne (tj. jako punkt) w pewnej innej teorii gospodarczej, nie interesującej się „wnętrzem” gospodarstw narodowych np. w pewnej dostatecznie uproszczonej teorii handlu międzynarodowego.

Używamy też terminu „punkt“ w innym jeszcze znaczeniu. Przez „punkt“ rozumiemy przedmiot wprawdzie podzielny, ale tylko w czasie. Możemy mniej ściśle powiedzieć, że punkty w tym znaczeniu są to indywidua nie podzielne w przestrzeni, ale „płynące w czasie“, mające swoją „historię“. Pierwsze znaczenie terminu „punkt“ wywodzi się z geometrii, drugie — z mechaniki. Będziemy odtąd używali terminu „punkt“ tylko w znaczeniu drugim.

3. *Podobieństwa i różnice.*

W mechanice rozważamy punkty (t. zw. „punkty materialne”), zbiory tych punktów, zwane „ciałami” i klasy zbiorów punktów materialnych, zwane „układami ciał”. Powstaje kusząca analogia, aby w teoriach ekonomicznych traktować podmioty gospodarujące jako punkty, gospodarstwa narodowe, klasy społeczne, branże jako zbiory tych punktów itd., a następnie budowę tych teorii wzorować na mechanice. Możnaby też snuć pewne interesujące analogie nie z mechaniką, ale z fizyką, jak to właśnie uczynił autor notatki „Mikro- i makro - ekonomia”. Nasuwają się jednak pewne zastrzeżenia, nie mniej godne uwagi.

Przede wszystkim trochę trudno się zdecydować, co będziemy traktowali jako punkty, czy poszczególnych ludzi gospodarujących, czy np. tych ludzi łącznie z rodzinami, będącemi na ich utrzymaniu? Prawdopodobnie zależy to od zadań i stopnia schematyzacji poszczególnych teorii ekonomicznych, w każdym ra-

zie na gruncie konkretnej teorii gospodarczej, jeśli chcemy ją budować *more mechanico* lub *more physico* trzeba tę sprawę jasno postawić.

Punkty materialne mechaniki klasycznej, czy atomy fizyki klasycznej były odwieczne i wieczyste (zasada niezniszczalności materii), „punkty ekonomiczne" mają natomiast wszystkie wcześniejszy lub późniejszy początek w czasie, a zwykle i koniec w czasie. Można za tem mówić o ich wieku indywidualnym, przeciętnym, o starszeństwie jednych w stosunku do drugich itd. Pod tym względem teoria „punktów ekonomicznych" będzie bogatsza i jaskrawo różna od klasycznej teorii punktów materialnych.

Przejdźmy do następnej, najbardziej może istotnej różnicy. W mechanice możemy mówić poprostu o punktach i ich zbiorach (ciałach). Przyjrzyjmy się teraz gospodarstwu narodowemu, sytuacja przedstawia się w sposób bardziej skomplikowany. Traktujmy fizyczne osoby gospodarujące jako punkty. Gospodarstwo narodowe będzie zbiorem, którego elementami będą te punkty, jednak elementami gospodarstwa narodowego będą jeszcze pewne inne podmioty gospodarujące, pewne wspólnoty, będące zwykle osobami prawnemi (spółki, spółdzielnie, gminy, skarb państwa itd.). W gospodarstwie narodowym, traktowanym jako zbiór punktów mamy do czynienia z dwoma typami punktów :

a) jednostkowymi podmiotami gospodarującymi,
b) zbiorowymi podmiotami gospodarującymi.

4. *Pożyteczność pewnej analogii.*

Nadużywając w wysokim stopniu cierpliwości czytelnika precyzowaliśmy pewne pojęcia podstawowe, z reguły nie stosowane w rozważaniach ekonomicznych po to, aby móc następnie precyzyjnie sformułować pewne różnice nieco „psujące" miłe analogie między światem mechaniki, czy fizyki, a gospodarowaniem ludzkim. Nie mniej pewne interesujące analogie zachodzą. Prawa, obowiązujące w świecie makrofizycznym są różne od praw, dotyczących świata mikrofizyki. Analogicznie: Prawa, dotyczące jednostkowych podmiotów gospodarujących nie pokrywają się często z prawami, dotyczącymi zbiorowych podmiotów gospodarujących oraz całych gospodarstw narodowych. Skąd biorą się te różnice?

Zauważmy przede wszystkim, że oczywistym, choć częstym błędem logicznym jest „rozumowanie" tego typu „ponieważ pewien element, należący do danego zbioru Z posiada pewną cechę, więc i zbiór Z tę cechę posiada", lub też „ponieważ każdy element należący do zbioru Z posiada daną cechę, więc i zbiór Z tę cechę posiada". Autor „mikro- i makro-ekonomii" podał dwa przekonywujące przykłady mylnych poglądów, które najprawdopodobniej powstały przy pomocy „rozumowań" scharakteryzowanego wyżej typu : Jeżeli indywiduum konsumuje więcej, to (przy danym dochodzie) oszczędza mniej. Inaczej przedstawia się sprawa w odniesieniu do dostatecznie różnorodnych zbiorów indywiduów, mianowicie w odniesieniu do całości gospodarstwa narodowego, lub nawet niektórych jego części, wzrost spożycia w całym gospodarstwie może spowodować wzrost oszczędności, niekiedy odwrotnie wzrost oszczędności może pociągać wzrost spożycia. Drugi przykład podany przez tego autora dotyczy wzrostu cen poszczególnego przedsiębiorstwa i wzrostu ogólnego poziomu cen, wpływ na rentowność jest w obu wypadkach różny.

Należy teraz wziąć pod uwagę drugie źródło różnic między tezami dotyczącymi gospodarki indywidualnej, a zbiorowej. Zbiorowe podmioty gospodarujące (zwłaszcza o charakterze publiczno - prawnym) i pewne zbiory podmiotów gospodarujących są z reguły wielokrotnie *trwalsze* od wchodzących w ich skład indywiduów. Uderzać nas powinna długowieczność podmiotów zbiorowych i gospodarstw narodowych. Z tej ilościowej, na pierwszy rzut oka, różnicy płyną pewne zasadnicze konsekwencje. Czytelnikom „Gospodarki Narodowej" dobrze znane jest pojęcie procesu gospodarczego o rentowności karencyjnej (odroczonej) [1]). Proces gospodarczy o dostatecznie silnie odroczonej rentowności będzie z punktu widzenia osoby fizycznej często poprostu nierentowny, lub zbyt niepewnie rentowny, natomiast inny będzie punkt widzenia czynnika publicznego, który może i powinien kalkulować na znacznie dłuższą metę. Sądzę, że dziedzina inwestycyj o użyteczności publicznej i dziedzina gospodarki leśnej mogły by dostarczyć najlepszych przykładów konkretnych tego rodzaju różnych punktów widzenia krótkotrwałego czynnika prywatnego i obowiązanego do długoterminowego myślenia (choć nie zawsze długoterminowo myślącego) czynnika publicznego.

Trzecim źródłem różnic między zasadami, dotyczącemi gospodarki jednostkowej, a — gospodarki zbiorowej będą stanowiły t. zw. „prawidłowości zjawisk masowych". Nie będziemy tu spraw tych obszernie omawiali, gdyż problem praw statystycznych i t. zw. „myślenia statystycznego" był w „Gospodarce Narodowej" dość obszernie omawiany.

5. *Zjawiska masowe w gospodarce jednostkowej.*

Wspomnieliśmy ostatnio o prawidłowościach zjawisk masowych, chodziło o to, że zachowanie się poszczególnych indywiduów może być chaotyczne, nie nadające się do przewidywań, podczas gdy zachowanie się pod tym samym względem dostatecznie licznych zbiorów indywiduów jest wyraźnie prawidłowe. Stwierdzenie to stało się, jak wiadomo powszechnie, podstawą teoretyczną wielu urządzeń gospodarczych o wybitnej doniosłości: ubezpieczeniowych, bankowych i handlowych (zbyt masowy). Należy jednak stwierdzić, że nie wynika z tego, aby prawidłowość zjawisk masowych odgrywała dużą rolę tylko w gospodarce zbiorowych podmiotów. Przede wszystkim prawidłowości zjawisk masowych mogą być świadomie wykorzystane przez jednostkowy podmiot gospodarczy wtedy, gdy pozostaje on w kontakcie z dostatecznie liczną zbiorowością innych podmiotów. Co więcej można sobie wyobrazić przykład jednostkowego podmiotu gospodarującego, nie mającego wogóle do czynienia w sprawach gospodarczych z masą innych indywiduów, a jednak korzystającego z prawidłowości zjawisk masowych w swej działalności gospodarczej. Wystarczy mianowicie, aby podmiot ten

[1]) H. Pniewski — „Rentowność" — Gospodarka Narodowa nr. 16—17/36.

miał do czynienia z b. liczebnymi zbiorami dóbr (np. fabrykacja masowa).

*
* *

Jest rzeczą pożyteczną korzystać z analogii fizykalnych i dzięki nim starannie odróżniać mikro- i makro-kosmos gospodarczy. Należy się jednak wystrzegać nadmiernego upraszczania zagadnień, naciągania analogii i tam gdzie jej już brak. Staraliśmy się w w wąskich ramach artykułu i w nadmiernie krótkim odcinku czasu, jaki ma do dyspozycji publicysta, wykazać z jednej strony płodność omawianej analogii, z drugiej — przestrzec przed zbyt dalekim jej stosowaniem.

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

ZAGADNIENIE CENTRALNE

Zagadnienie rynku pieniężnego i obrotu towarowego z zagranicą stają się z kolei — po zagadnieniu cen — centralnymi problemami naszej polityki koniunkturalnej.

Centralnym zagadnieniem naszej polityki koniunkturalnej było ostatnio bez wątpienia zagadnienie cen. Czuliśmy, że szybki wzrost cen może rozpętać wyścig ceny — płace, może zaciążyć na równowadze budżetowej, uderzyć w plan inwestycyjny, zahamować eksport, zniekształcić podział dochodu społecznego i — nadając spekulacyjny charakter koniunkturze — uniemożliwić trwalszy rozwój gospodarczy.

Sądzę, iż dziś można już stwierdzić, że przebyliśmy najniebezpieczniejszą strefę. Czynniki psychologiczne grają dziś raczej na korzyść. Mamy znów falę zaufania i wiary w spokojny rozwój koniunktury. Falę jak zwykle w Polsce niezbyt głęboką i zapewne niezbyt długotrwałą, a nawet graniczącą z niewiarą w osiągnięcie wysokiego poziomu poprawy w bieżącym cyklu koniunkturalnym i w jej trwałość na świecie i w Polsce. Rozwój wypadków w pełni usprawiedliwia spokojną ocenę sytuacji. Ani płace, ani ceny nie zapowiadają burzliwej dynamiki.

Okazało się, że masa bezrobotnych tak silnie ciąży na polskim rynku pracy, iż tylko w wyjątkowych wypadkach walka o poziom płac przybiera ostrzejsze formy. Z reguły robotnicy kontentują się wzrostem zarobków bez wzrostu płac nominalnych, wzrostem wynikającym ze zwiększenia ilości dni pracy w tygodniu. Niewątpliwie sytuację ułatwia wzrost zatrudnienia w przemyśle i szybsze w tym roku tempo rozkręcania robót publicznych, co w obu wypadkach przyczynia się do zmniejszenia ciężarów ponoszonych przez robotników zatrudnionych na rzecz utrzymania niezatrudnionych członków rodzin. Stąd też strajki wybuchają tylko tam, gdzie stawki płac są na tyle niskie, że wzrost przepracowanych dni nie może skompensować wzrostu kosztów utrzymania.

Na odcinku cen — ceny artykułów hodowlanych nie pośpieszyły za zwyżką cen zbóż i pasz. Tłumaczy się to przede wszystkim różnym stopniem zależności tych dwu grup artykułów od zagranicy, oraz stosunkowo niską w tym roku produkcję roślinną przy dość wysokim poziomie produkcji hodowlanej.

Rozwój cen artykułów hodowlanych stanowi ponadto raz jeszcze potwierdzenie wielkiej zależności poziomu cen produktów hodowlanych od poziomu płac wzgl. zarobków pracowników najemnych. Wreszcie specjalnie na cenach trzody chlewnej, poważnie odbiło się to, że „w cyklu świńskim" znajdujemy się w punkcie wyjątkowo wysokiego pogłowia, skutkiem czego tylko bardzo wydatny wzrost spożycia wewnętrznego uruchomić może zwyżkę cen, zaś pomyślna zresztą dynamika eksportu nie może stanowić czynnika wystarczającego.

W zakresie cen przemysłowych osiągnęliśmy pewne wyniki dzięki akcji rozwiązywania karteli, część sukcesu zawdzięczamy również liberalizacji ograniczeń dewizowych w odniesieniu do surowców. Najważniejszym może jednak elementem był tu fakt załamania się boomu surowcowego na świecie, fakt wprowadzający uspokojenie w kalkulacji przemysłowca.

Generalnie biorąc, stwierdzić możemy, że ten wzrost cen, który się dotychczas dokonał, był głównie zwyżką pochodną. Następował on przede wszystkim w artykułach uzależnionych od zagranicy, zarówno w sensie znacznego udziału surowców zagranicznych w kosztach produkcji danego artykułu, jak i w sensie znacznego udziału eksportu w zbycie danego towaru.

W tych warunkach można więc stwierdzić po pierwsze, że nie sposób byłoby — jeśli chodzi o wzrost cen — przypisywać zbyt wielką rolę wzmożeniu inwestycji publicznych i zaktywizowaniu polityki kredytowej Państwa. Przeciwnie, pewne fakty pozwalają określić politykę kredytową ostatnich tygodni (nie miesięcy) jako politykę raczej deflacyjną, politykę zwiększającą rezerwy i poprawiającą płynność instytucyj kredytowych, co oczywiście wzrostu cen nie podnieca. Po drugie, wolno twierdzić, że w tych warunkach na pewien okres czasu zagadnienie cen schodzi na drugi plan, przynajmniej w sensie generalnego, ostrego hamowania zwyżki tych cen. Należałoby dziś raczej mówić o uporządkowaniu cen pod kątem szerszym, o usunięciu przerostów w cenach w sposób organiczny, a nie administracyjny, a nawet w odniesieniu do tych dziedzin gdzie obecny poziom cen zagraża skurczeniem produkcji (niektóre działy hodowli) — o ułatwieniu zwyżki cen.

Co można uznać za centralne zagadnienie obecnego etapu polityki koniunkturalnej, z chwilą, kiedy uznaje się, że zagadnienie cen utraciło tę rolę? Sądzę, że najogólniejsza odpowiedź na to pytanie jest prosta, że nie może nią być nic innego, jak stwierdzenie, iż z chwilą usunięcia obaw o spekulacyjny charakter koniunktury, wolno i należy przedmiotem troski uczy-

nić sprawę tworzenia nowych bodźców, przyśpieszających i wzmagających rozwój koniunkturalny.

Jak zawsze, tak i w tej chwili tezę tę pojmować można dwojako. Po pierwsze można dążyć do usunięcia istniejących jeszcze hamulców do poprawy koniunkturalnej, po drugie można w sposób bezpośredni przez politykę finansową i kredytową podsycać ożywienie.

Czy słuszne jest mówić dzisiaj, przy rozwijającej się już od dłuższego czasu poprawie, o istnieniu hamulców poprawy? Bez wątpienia tak. Przyczyn i wyjaśnienia tego stanu rzeczy musimy szukać w pewnych elementach naszej polityki z okresu kryzysu. Polityka ta nie zdecydowała się ani na hasło: wierzyciel musi stracić, ani na hasło: dłużnik musi zapłacić. Polityka ta była polityką anty-egzekucyjną, nie będąc jednocześnie polityką redukcji nominału zadłużenia (z małymi wyjątkami). To też zarówno w rolnictwie, jak w przemyśle bilanse są złe, zaś aparat kredytowy nadal skrzętnie notuje w swej księgowości szereg pozycyj nierealnych. Z punktu widzenia polityki koniunkturalnej jest właściwie w tej chwili rzeczą drugoplanową czyim kosztem miało by się odbyć generalne pranie bilansów. Pewne jest jednak, że zdolność kredytowa przedsiębiorców prywatnych poprawiłaby się znacznie przez takie „pranie". Nie oznacza to oczywiście wezwania do jakiejś szerokiej akcji nowych ulg oddłużeniowych. Skoro w okresie kryzysu, w okresie trudniejszego położenia świata producentów nie poszliśmy w tym kierunku, trudno byłoby mniemać, że dziś kierunek taki miał by jakie kolwiek szanse realizacji. Chodzi o rzeczy znacznie skromniejsze, które jednak łącznie z następującym ożywieniem produkcji mogą i muszą wywrzeć wpływ korzystny. Chodzi o dokończenie takich zabiegów oddłużeniowych, które są jeszcze w toku. O definitywne uporządkowanie takich działów zadłużenia, w których formalnie lub faktycznie stworzono prowizorium, zmieniając dawny stan prawny, a nie stwarzając stanu prawnego, wzbudzającego zaufanie co do swej trwałości. O umożliwienie i zachęcenie do dobrowolnych układów wierzyciela z dłużnikiem, oraz o przyśpieszenie samoczynnych procesów likwidacyjnych na drodze zmiany właściciela. Podnieść przytem należy, że liczenie czy to na układy dobrowolne, czy też na likwidację zobowiązań po przez zmianę właściciela było by w okresie kryzysu nierealne, gdyż wobec niskiego poziomu produkcji (w przemyśle) i niskiego poziomu cen (w rolnictwie) oraz braku rentownej lokaty dla ew. wyegzekwowanych pieniędzy, wierzycielowi zawsze opłacało się czekać. Dzisiaj czynniki te uległy na tyle znacznym zmianom, iż te najprostsze formy samoczynnego likwidowania przeszłości mogą wchodzić w grę w pewnej przynajmniej skali.

Drugim ew. hamulcem poprawy może być zaostrzenie dysproporcji pomiędzy podażą a popytem w poszczególnych grupach towarowych, dysproporcji ujawniających się już przy dotychczasowym poziomie poprawy. Dysproporcje te wynikać mogą bądź z dewastacji czy zaniedbań inwestycyjnych w poszczególnych działach produkcji krajowej, która sprostać nie może narastającemu popytowi (przykład: hutnictwo), bądź też z trudności dewizowych, nie pozwalających na dostateczny import surowców. Pierwsze zagadnienie prowadzi nas do ogólniejszej sprawy inwestycyj produkcyjnych, drugie do problemu bilansu płatniczego i handlowego.

Przystępując do podsycania koniunktury na drodze rozwoju inwestycyj publicznych liczono się z tem, że inwestycje te spowodują rozwinięcie się z kolei prywatnych inwestycyj produkcyjnych. Nadzieja ta zrealizowana została tylko w części, dysproporcja pomiędzy robotami publicznemi a inwestycjami prywatnemi nie uległa złagodzeniu. Dlaczego? — Najczęstszą, ale też i najprymitywniejszą odpowiedzią jest twierdzenie, że rynek finansowy jest tak silnie drenowany na rzecz inwestycyj publicznych, że zatraca możliwość udzielania kredytu przedsiębiorcom prywatnym. Pogląd ten już w założeniu sporny, mógł być jeszcze z pewnym powodzeniem broniony dawniej — wtedy, kiedy płynność instytucyj kredytowych była mała. Dzisiaj, przy wzroście płynności tych instytucyj, coraz częściej daje się ad oculos wykazać, że banki mogłyby dać kredyt, że istnieje pieniądz, który poszukuje dobrej lokaty, ale jej nie znajduje. Nie wyklucza to oczywiście równoległej możliwości przytoczenia przykładów, kiedy przedsiębiorca prywatny, mający na widoku bardzo optymistycznie zapowiadającą się imprezę, nie znajduje możliwości jej sfinansowania, gdyż warunki, które jest w stanie zaoferować aparatowi kredytowemu, nie odpowiadają tendencjom tego aparatu, zarówno pod kątem zabezpieczenia jak pod kątem terminu kredytu. We wspomnianym poprzednio, a zresztą rozpowszechnionym niestety poglądzie, że inwestycje publiczne hamują inwestycje prywatne, tkwi nieporozumienie, polegające na zapoznaniu faktu, że istotną przyczyną niedorozwoju inwestycyj prywatnych jest: 1 niedostateczna formalna zdolność kredytowa przedsiębiorców prywatnych, 2 szereg strukturalnych cech naszej bankowości, takich jak nadmierna centralizacja, niedorozwój aparatu przeznaczonego do operacyj czynnych w stosunku do aparatu przeznaczonego do operacyj biernych itp. 3 dysproporcja pomiędzy podażą kredytów krótko - i długoterminowych (tylko państwo może pozwolić sobie na budowanie lokat długoterminowych w oparciu o wkład krótkoterminowy). Proste odciążenie rynku finansowego od t. zw. drenażu na rzecz inwestycyj publicznych jako jedyny efekt dałoby skutki deflacyjne, osłabiłoby tętno życia gospodarczego i — zmniejszając zdolność kredytową przedsiębiorców prywatnych, — tem bardziej oddaliłoby nas od przywrócenia właściwej proporcji pomiędzy inwestycjami prywatnemi a robotami publicznemi. Tem nie mniej stan obecny nie jest do utrzymania, zarówno dlatego, że generalnie przewaga inwestycyj nierentownych, względnie pośrednio tylko rentownych, wydaje się niebezpieczna, jak i dlatego, że jak wspomniałem wyżej, możemy wyliczyć cały szereg dziedzin produkcji, które nie mogą sprostać narastającemu popytowi. To też stoimy wobec dylematu: albo państwo będzie musiało w szerszym zakresie finansować inwestycje produkcyjne (co uważam za rozwiązanie gorsze), albo też musi nastąpić szereg dość poważnych przemian w aparacie kredytowym, i w ogólności na rynku finansowym. Mam tu na myśli przemiany sprzyjające przestawieniu się z krótkoterminowego kredytowania na długoterminowe kredyty, ułatwiające upłynnianie walorów długoterminowych ich obecnym posiadaczom i skierowanie uzyskanych stąd środków na inwestycje, przyśpieszające przebudowę aparatu kredytowego w kierunku decentralizacji i popierania instytucyj o rozwiniętym dziale operacyj czynnych itp. itp. Nie

wnikając w szczegóły tego zagadnienia, sądzę, że w nim właśnie dopatrywać się musimy jednego z dwu centralnych zagadnień chwili obecnej.

Drugim zagadnieniem centralnym wydaje mi się odcinek bilansu handlowego i płatniczego. Pomimo zwyżki cen nasz potencjał eksportowy nie zmalał tak znacznie, abyśmy się na odcinku bilansu handlowego znaleźli w sytuacji trudnej. Ubytek ilości w niektórych pozycjach wywozowych został skompensowany przez wzrost innych, a przede wszystkim przez bardzo silny wzrost ceny szeregu najważniejszych artykułów wywozowych. Trudno byłoby nadal liczyć na silniejszy wpływ tego ostatniego czynnika wobec załamania się boomu surowcowego na świecie, natomiast w niektórych dziedzinach, np. w zakresie zbóż i żelaza, musimy się liczyć z kurczeniem eksportu ze względu na ograniczone możliwości produkcyjne najbliższego okresu gospodarczego. Przy wciąż rosnącym zapotrzebowaniu na surowce zagraniczne, przy stopniowo ale stale wzrastającej obsłudze zobowiązań zagranicznych, stawia to niełatwe zadania przed naszą polityką dewizową. W wypełnieniu tych zadań w małej tylko mierze możemy liczyć na pomoc zagranicy w postaci kredytów finansowych i automatycznego wzrostu kredytu towarowego. Bynajmniej zresztą nie dlatego, ażeby reglamentacja dewizowa kurczyła poważniej nasze możliwości w tym kierunku, lecz poprostu dlatego, że wbrew przewidywaniom klasyków poprawa koniunktury światowej w znikomym tylko stopniu wpłynęła na ułatwienie uzyskiwania kredytu, czy to w towarze czy w gotówce. To też tak jak w latach poprzednich — kluczem zagadnienia bilansu płatniczego jest odcinek obrotów towarowych. Dalsza rozbudowa eksportu i świadome — poprzez politykę gospodarczą — dążenie do uzyskania kredytów towarowych są głównym środkiem przezwyciężania trudności dewizowych. Stopień przezwyciężenia tych trudności zdecyduje o możliwości zaopatrzenia w surowce zagraniczne, a tem samem o skali rozwoju produkcji.

R-NEK STRAT I ZYSKÓW ZA OKRES 1.1. 1936. — 31.XII. 1936 r.
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ Z OGR. ODP. „GOSPODARKA NARODOWA"

Straty		Zyski	
1. Prasa Gospodarcza	480.—	1. Wydawnictwo	17982.14
2. Wydawnictwo	9384.70	2. Broszury	878.54
3. Koszty Administracyjne	5717.47		
4. Poczta	965.02		
5. Amortyzacja	118.65		
6. Strata za rok 1935	2036.94		
(pozostałość)	18702.78		18860.68
Zysk - netto	157.90		
	18860.68		18860.68

R-NEK BIALNSU ZAMKNIĘCIA NA DZIEŃ 31 GRUDNIA 1936 r.
SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ Z OGR. ODP. „GOSPODARKA NARODOWA"

W-n		M-a	
1. Kasa	111.16	1. Wierzyciele	1393.97
2. P. K. O.	477.65	2. Udziały	801.50
3. Dłużnicy	897.19	3. Sumy Przechodnie	273.01
4. Dłużnicy - Wierzyciele	9.91		
5. Ruchomości	361.30		
6. Sumy Przechodnie	769.17		
	2626.38		2468.48
		Zysk - netto	157.90
	2626.38		2626.38

Rada Nadzorcza
(—) *Bobrowski Czesław*
(—) *Ciechomska Zofia*
(—) *Świderski Kazimierz*

Warszawa, dn. 29. IV. 1937 r.

Powyższy rachunek Bilansu Zamknięcia oraz Strat i Zysków został zatwierdzony na Walnem Zgromadzeniu w dniu 11 maja 1937 roku.

UWAGI

ZADOWOLENIE Z KONIUNKTURY

Spotkaliśmy się niedawno z twierdzeniem — ze wszech miar słusznym — że poprawa koniunktury *nikogo u nas zbytnio nie cieszy*, nie wywołuje tych dostatecznie głębokich i powszechnych nastrojów optymizmu, które — rozpowszechniając się w społeczeństwie — stać się mogą i powinny czynnikiem pobudzającym aktywność przedsiębiorców. Jest to obserwacja najbardziej generalna, powiedzmy najbardziej powierzchowna; traktować ją należy jako punkt wyjścia do rozważań nad swoistemi cechami obecnej zwyżki koniunkturalnej w Polsce. Na marginesie takich rozważań, pragniemy zwrócić uwagę na niektóre cechy zjawiska.

Ocenę stanu koniunktury — a więc i ewentualne zadowolenie z jej przebiegu — opiera człowiek na zmianach, zachodzących w jego bezpośrednich warunkach pracy. Jednak w równej conajmniej mierze na obserwacji okoliczności zachodzących zzewnątrz własnego warsztatu pracy, przyczem to drugie kryterium jest bardziej prawidłowe, gdyż przecie wszelkie projekty rozwoju przedsiębiorstwa opierać należy na tem, co się dzieje w jego bezpośrednim i pośrednim otoczeniu. Istnieje zjawisko wzajemnego „zarażania się" optymizmem lub pesymizmem: zachodzi pytanie, kto lub co jest najbardziej aktywnym, najbardziej powszechnym roznosicielem zarazy optymizmu?

Jedna z odpowiedzi brzmi: ten, kto podejmuje największe i najbardziej efektowne prace. (Słowo „efektowne" brzmi tu może nieco fałszywie, sądzimy jednak, że jest właściwe, oczywiście z zastrzeżeniem, że niema ono w tym wypadku nic wspólnego ze słowem „efekciarskie"). Wielkie prace zapowiadają wciągnięcie w swą orbitę wielkiej liczby jednostek gospodarujących, a im bardziej są efektowne i popularne, tem łatwiej i tem silniej oddziaływują na nastroje ogółu. Poprawa rozlewająca się równomierną falą na tysiące warsztatów może być obiektywnie najkorzystniejsza, jednak bardziej aktywnym roznosicielem zarazy optymizmu będzie skoncentrowanie sił gospodarczych na jednym jakimś, odpowiednio dobranym odcinku. Tę rolę odegrała u nas Gdynia, nie tylko dzięki obiektywnej wartości inwestycyj morskich dla gospodarstwa narodowego, lecz również dzięki ich popularności i efektowności. Takich zaś Gdyń, o szerszym lub węższym zakresie, mieliśmy w okresie 1925 — 1930 więcej, że wymienimy Pewukę, Mościce, zdobycze zagraniczne przemysłu węglowego, powstanie szeregu nowych gałęzi przemysłu itp.

Obecnej poprawie koniunkturalnej nie towarzyszy pojawianie się tego rodzaju ośrodków optymizmu gospodarczego — z zasadniczym wyjątkiem dla koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego. Byłoby oczywistym błędem, gdyby doboru prac inwestycyjnych dokonywano pod zbyt silnym wpływem ich efektowności, sądzimy jednak, że nie należy jej pomijać. W każdym zaś razie pamiętać wypada, że efektowność jakiegoś faktu mierzy się nie tylko jego istotnemi cechami, lecz również sposobem ich podania do wiadomości publicznej. Talentów propagandystycznych nigdy nie było w Polsce w nadmiarze. Dziś, w obliczu naszej smutnej koniunktury, przy niedostatku poczynań, któreby w swej naturze nosiły walor popularności — dobra i szeroko zakrojona propaganda wydaje się być szczególnie potrzebna.

Druga uwaga na tenże sam temat. Sądzimy, że zadowolenie z osiągnięć gospodarczych mierzy się nie tyle ich bezwzględnemi rozmiarami, co *stosunkiem* między rozmiarem osiągnięć, a odczuwanemi potrzebami. Osiągnięcia uznawane powszechnie za niedostatecznie wielkie, nie mogą cieszyć należycie, nawet wówczas, gdy są duże. Odnosimy zaś wrażenie, że najbardziej wyrazistą miarą wymagań, jakie społeczeństwo stawia swemu rozwojowi gospodarczemu, jest porównanie biegu wypadków w Polsce z tem, co się dzieje zagranicą, a zwłaszcza u sąsiadów; może jeszcze ściślej będzie powiedzieć, że miarą tą jest porównanie *tempa* postępu gospodarczego u nas i w innych krajach. Przypominamy zainteresowanie, z jakim przyjmowano w okresie 1925 — 30 fakt, że tempo licznych procesów zwyżkowych było u nas szczególnie silne, silniejsze od przeciętnej europejskiej, czy światowej.

Obecnie tak nie jest, koniunktura nasza jest nie tylko opóźniona, lecz i mniej intensywna w porównaniu do reszty świata, różnica poziomów nie zmniejsza się, a wzrasta. Postulat „doścignąć i prześcignąć" jest naturalny i konieczny u pełnowartościowego obywatela; na jego podłożu pojawia się obecnie konstatacja: „cóż z tego, że idziemy naprzód, gdy *oni* biegną". Okoliczność ta napewno bardzo poważnie przeszkadza nam cieszyć się koniunkturą.

j. j.

PERSPEKTYWY ZBOŻOWE

Bieżąca kampania zbożowa dobiega końca. Przypuszczać można, że w ciągu dwóch miesięcy przednówkowych większe zmiany na rynku krajowym już nie zajdą, to też ocena całego roku ubiegłego nie ulegnie już znacznym odchyleniom. Nie zamierzając przeprowadzać gruntowniejszej analizy, pragniemy podkreślić tu elementy, które mogą zaważyć na rozwoju sytuacji zbożowej w ciągu nadchodzącej kampanii.

Jeśli chodzi o światowy rynek zbożowy, to wydaje się nie ulegać wątpliwości, że poprawa sytuacji przewidywana na początku bieżącej kampanii została nie tylko urzeczywistniona, ale przekroczyła nawet pokładane nadzieje. Kurczeniu się nadwyżek eksportowych pszenicy w ciągu kilku lat ubiegłych towarzyszyło stałe zmniejszanie się popytu; rok bieżący stanowi pod tym względem okres przełomowy, gdyż nadwyżki wywozowe z powodu nieurodzajów są nadal szczupłe, spożycie zaś w krajach importujących znacznie wzrosło. Wzrost konsumcji okazał się jednak silniejszy od przewidywanego — tak, że przekroczył nawet wzrost nadwyżek eksportowych, jaki ujawnił się ostatnio w porównaniu z pierwotną oceną. W rezultacie na pokrycie zapotrzebowania obrócone

zostaną całe nadwyżki ze zbiorów zeszłorocznych oraz część zapasów z lat poprzednich; zmniejszenie tych zapasów na koniec roku będzie więc nieco silniejsze, niż się spodziewano na początku kampanii.

Jak z kolei należałoby oceniać sytuację na rynku światowym w roku przyszłym? Sądzić można, że kształtować się ona będzie pod wpływem tych samych dwóch czynników: dalszego wzrostu spożycia oraz zwiększonej podaży, w związku z rozszerzaniem upraw i ich intensyfikacją. Ten drugi czynnik grać może nawet stosunkowo większą rolę, gdyż zwiększanie spożycia zbożowego w dalszym przebiegu poprawy koniunkturalnej może już nie następować w tak szybkim tempie — tembardziej, że zapasy mobilizacyjne, stwarzane w roku bieżącym przez szereg krajów niesamowystarczalnych, w roku przyszłym nie będą już stanowiły na rynku dodatkowego popytu. Jednak nawet w wypadku szybszego wzrostu nadwyżek eksportowych od rozwoju konsumcji, nie można oceniać sytuacji zbyt pesymistycznie, wobec wyjątkowo niskiego stanu zapasów. Reasumując zatem dochodzimy do wniosku, że poziom cen zbóż przy urodzajach przeciętnych utrzyma się prawdopodobnie na obecnym poziomie, co nie wyłącza oczywiście zwykłej, stosunkowo słabszej tendencji na początku kampanii.

Zastanówmy się z kolei nad tymi wewnętrznymi czynnikami, które w ciągu przyszłego roku gospodarczego wywierać będą wpływ na kształtowanie się krajowego rynku zbożowego.

Pierwszym z nich jest prawdopodobny wzrost konsumcji krajowej, w pierwszym rzędzie konsumcji ludzkiej. Sądzić można, że rozwój sytuacji pójdzie tu raczej po linii poważniejszego zwiększenia spożycia miejskiego w związku z rozszerzaniem ilościowym bazy konsumentów miast (zakładając przytem, że poprawa koniunkturalna w dalszym ciągu wyrażać się będzie nie wzrostem płac jednostkowych, a wzrostem zarobków robotniczych), aniżeli poważniejszej zwyżki spożycia wiejskiego. Do powyższego wniosku doprowadza nas obserwacja stanu faktycznego w ciągu ubiegłej i bieżącej kampanii. W zeszłym roku gospodarczym, w pierwszym roku poprawy w rolnictwie, zwiększone wpływy gotówkowe obrócone zostały nie na zwiększenie własnego spożycia, a na uzupełnienie najbardziej palących potrzeb w samym gospodarstwie; w ciągu bieżącej kampanii natomiast można się spodziewać rozpoczęcia procesów intensyfikacyjnych, które dopiero w nadchodzącej kampanii przybrać mogą bardziej powszechny i poważniejszy charakter — przy założeniu, że wyjściowy poziom nowej kampanii będzie dość znacznie odbiegał wzwyż od analogicznego poziomu kampanii bieżącej. Przypuszczenie to wydaje się słuszne i z tego powodu, że aczkolwiek obecna zwyżka cen zbóż stanie się pewną zachętą do wkładów kapitałowych w gospodarstwie, to jednak w rzeczywistości wkłady te są prawdopodobnie jeszcze stosunkowo skromne, gdyż po szeregu lat niepomyślnych psychologiczne reakcje rolników w pierwszym okresie poprawy cen muszą z konieczności zachodzić w tempie dość powolnym; ponadto w roku bieżącym liczyć się trzeba z faktem stosunkowo mniejszego wzrostu przychodów gotówkowych (przy utrzymanej cenie art. hodowlanych) niżby to wynikało z samego tempa wzrostu cen artykułów roślinnych: ze zwyżki tej skorzystali w pierwszym rzędzie ci, którzy mogli czekać, a więc handel oraz silniejsi gospodarczo rolnicy; masa gospodarstw włościańskich mogła je wykorzystać tylko częściowo. Wreszcie ujmując sprawę historycznie — wydaje się, że odbudowanie strat poniesionych w ciągu szeregu lat w samym gospodarstwie, nigdy nie odbywało się i nie może się odbywać w dość szybkim tempie.

Zakładając stosunkowo powolniejszy rozwój spożycia zbóż chlebowych na wsi, nie przesądzamy oczywiście jego wpływu na kształtowanie się rynku; jasne jest bowiem, że nawet nieznaczne procentowo zwiększenie tego spożycia, ilościowo może się odbić na rozmiarach podaży, a zatem i na wielkości nadwyżek wywozowych. Tak więc ze strony spożycia miejskiego i wiejskiego łącznie, należałoby oczekiwać dość poważnego wzrostu.

Jeśli chodzi o spożycie zbóż na cele hodowlane, to tu wszelkie przewidywania są dość trudne. Z jednej bowiem strony przypuszczać należy, że pogłowie bydła, a zwłaszcza trzody chlewnej będzie w roku przyszłym niższe od obecnego, z drugiej zaś — zarówno przewidywana poprawa w zakresie eksportu hodowlanych, jak i nieco zwiększone spożycie miejskie, pozwala się spodziewać zwyżki poziomu cen w tej grupie artykułów, a co za tem idzie — zwiększonego w porównaniu ze stanem obecnym spasania zbóż przez inwentarz żywy; komplikuje tu jednak sprawę przyszła sytuacja na rynku artykułów substytucyjnych, a w szczególności innych pasz treściwych i ziemniaków.

Dotychczas zakładaliśmy implicite, że krajowa produkcja zbożowa w przyszłym roku gospodarczym będzie równa produkcji roku bieżącego. Oczywiście wnioskowanie w tej chwili na podstawie wiadomości o stanie zasiewów byłoby przedwczesne, gdyż nawet krótki okres sprzyjających warunków atmosferycznych w znacznej mierze wyrównać może poniesione straty. Liczyć się jednak trzeba z wymarzaniem ozimin, ze stratami, które przez akcję ratowniczą tylko w części będą mogły być wyrównane. Jeśli uwzględnić ponadto wyczerpanie zapasów przy przejściu do nowej kampanii, to bez popełnienia dużego błędu przypuszczać możemy, że rozporządzalne ilości zboża będą mniejsze, a conajwyżej równe ilościom tegorocznym. Uwzględniając zatem zarówno wpływ rynku światowego, jak i przewidywany wzrost spożycia wewnętrznego można by się spodziewać utrzymania cen zbóż w dalszym ciągu na podwyższonym poziomie oraz wcześniejszego oderwania się cen krajowych, niż to miało miejsce w latach ubiegłych. Powyższa ocena prowadzi do wniosku, że problem zwyżki cen artykułów hodowlanych staje się palącą koniecznością, którą nasza polityka gospodarcza uwzględnić powinna w zespole środków, mających wpływ na dalszy rozwój koniunktury.

j. r.

BŁĘDNA INTERPRETACJA

w odpowiedzi na artykuł p. Fr. Karpińskiego

W Nr. 10 „Gospodarki Narodowej“ ukazał się na str. 138 artykuł podpisany nazwiskiem p. Franciszka Karpińskiego pt. „Na progu sezonu“, w którym autor omawia na podstawie sprawozdania Funduszu Pracy za r. 1935/36 rezultaty działalności tej instytucji.

Autor znalazł w sprawozdaniu wielką ilość tablic, ale „mimo tej wielkiej ilości tablic, a może właśnie skutkiem tej wielkiej ilości, trudno dociec tajników struktury wynagrodzenia za pracę, kosztów administracji i innych szczegółów najbardziej interesujących“.

Obszerne sprawozdanie daje zatem nadmiar materiału, zwięzłe dałoby go zapewne za mało. Zadowolić krytyka w takich warunkach nie jest łatwe.

Autor uwagi pokonał jednak trudności wynikłe z niedostatecznej przejrzystości układu sprawozdania F. P., wyliczył sobie pewne liczby mające, zdaniem jego, charakteryzować sytuację i na tej podstawie doszedł do wniosków, które dadzą się ująć w dwóch punktach:

a) nie ma mowy o tem, aby Fundusz Pracy spełniał swoje ustawowe zadanie, które na Komisji Sejmowej zostało sformułowane, jako „trwałe likwidowanie bezrobocia przez właściwą politykę finansową i inwestycje“,

b) istnieje potrzeba „głębszego przemyślenia i praktycznego postawienia na szerszych podstawach całokształtu pomocy dla bezrobotnych“.

Nie ulega wątpliwości, że nader cenną rzeczą byłoby zanalizowanie całego systemu pomocy dla bezrobotnych i obmyślenie możliwości pozbawienia pomocy doraźnej jej dotychczasowego zbyt „doraźnego“ charakteru, oraz powiązania ściślejszego pomocy doraźnej z akcją zasiłków ustawowych. Wymaga to przede wszystkim zbadania rezultatów społecznych i finansowych obecnej akcji i wysunięcia pewnych postulatów na przyszłość. Podobnie można i należy badać, czy Fundusz Pracy w ramach swych, bardzo niestety szczupłych środków realizuje stawiane mu zadania w zakresie przebudowy gospodarczej kraju. Wszystko to wymaga analizy obecnych stosunków. Bardzo dobrze, że p. Karpiński podjął ze swojej strony coś co można uważać za surogat takiej analizy, gorzej natomiast, że wskutek niedostatecznej może przejrzystości materiału, doszedł do wyników fałszywych i w rezultacie zamiast wnieść trochę światła, zupełnie pogmatwał całą sprawę.

1. P. Karpiński pisze, że „według tablicy 2 i 5 Fundusz Pracy wydał na roboty publiczne ogółem 87 milionów zł, z tego 48% poszło na robociznę a 39% pochłonęły materiały“.

W tem zdaniu tkwią 2 błędy. Istotnie Fundusz Pracy wydał na roboty 87.350 tys. zł, ogólny koszt robót wyniósł jednak wraz z wkładami kredytobiorców 183.203 tys. zł (patrz str. 30 i tablica 16 na str. 78). Podział kosztu na materiały i robociznę odnosi się właśnie do tej sumy, a nie do 87 milionów, jak to przyjmuje p. Karpiński. Dalej, suma ta zawiera koszt robocizny w wysokości 38,9% i materiałów w wysokości 47,8%. (tablica 16 str. 78), a więc odwrotnie niż podaje Autor. Nie miałoby to wszystko większego znaczenia, gdyby liczby te nie były podstawą dalszych wyliczeń Autora.

2. Odliczając od ogólnego kosztu robót kolejno wspomniane 48% i 39%, dochodzi p. Karpiński do wniosku, że „o pozostałych 13% wolno się domyślać, że stanowiły dodatkowy koszt administracji lokalnej, poza wymienionym na tejże tablicy 5. kosztem utrzymania Biura Głównego“.

Domysły te powstały na skutek niedopatrzenia Autora. Tablica 5. podaje wydatki administracyjne w wysokości zł 6.706 tys. zł, w czem mieści się 1.283 tys. zł wydatków Biura Głównego i 5.423 tys. zł administracji lokalnej. Jak więc widzimy, wydatki administracji lokalnej są zupełnie jasno podane i nie były przemycane pod innemi pozycjami. Natomiast zrozumienie tajemnicy tych 13%, będących przedmiotem troski p. Karpińskiego, wymaga uwzględnienia tablicy 16. na str. 78. W tablicy tej mamy podany udział robocizny, wynagrodzenia personelu technicznego i administracyjnego oraz kosztu materiałów w łącznej wysokości 90,3%. O ile dalej odliczymy dopłaty pracodawców na świadczenia socjalne, wynoszące około 8% robocizny i wynagrodzenia wyższego personelu, czyli 3,4% ogólnego kosztu robót, to tajemnicze 13% redukuje się do 6,3%. Te 6,3%, jak to zaznaczono w tablicy 16, to nic innego, jak wydatki na inwentarz, rozjazdy, oprocentowanie kapitału itd., a więc wydatki tkwiące normalnie w budżecie każdej roboty i nie mające absolutnie nic wspólnego z budżetem administracyjnym Funduszu Pracy.

3. Przechodzimy z kolei do „grubej Berty“ p. Karpińskiego. Autor wylicza, że na robotniko-dniówkę na robotach Funduszu Pracy przypadło zł 2,10 na zarobek miesięczny — zł. 27,82.

Liczy te są niezgodne z rzeczywistością. Sposobu obliczeń swych Autor nie podaje. Jak więc sprawa wygląda w rzeczywistości? Nie trudno się w tem zorientować. Tablica 16. podaje wyraźnie ogólne wydatki na robociznę w wysokości 71,290 tys. zł. Liczba dniówek przepracowanych przez robotników podana na str. 32. wynosi 16.889 tys. *Koszt dniówki wynosi więc zł 4,22, a nie zł 2.10 jak oblicza Autor.* Biorąc pod uwagę, że w miesiącu wypadało przeciętnie na robotnika 14,2 dnia pracy, otrzymamy średni zarobek miesięczny *nie zł 27,82* jak podaje Autor, *ale zł 59,32.*

Błąd ten powstał zapewne stąd, że jak wykazaliśmy w punkcie 1, Autor zredukował ogólne koszta robót bez mała o 100 milionów zł, zapewne obcinając w dalszym ciągu odpowiednio wypłaty dokonane robotnikom. „Nie korygując“ w ten sposób rozmiarów zatrudnienia musiał otrzymać w ostatecznym wyniku grube zmniejszenie zarobku, z którym nie zgadza się zupełnie rzeczywistość.

4. Dałoby się artykułowi p. Karpińskiego wytknąć jeszcze więcej nieporozumień. Tak np. p. K. mó-

wi, że w lutym 1936 r. przy ponad ½ milionie zarejestrowanego bezrobocia, 20.580 osób było zatrudnionych na robotach publicznych, a 261.000. rodzin korzystało z pomocy doraźnej. Autor nie dostrzegł, że na str. 89 w tablicy 27 podane jest jeszcze 131.669 osób korzystających z zasiłków ustawowych.

Analiza p. Karpińskiego nasuwa pewne wnioski. Przede wszystkim, że sprawa walki z bezrobociem jest rzeczą zbyt poważną, by tak lekkomyślnie operować liczbami. Wszyscy zgodzimy się, że nawet uwzględniając ciężką sytuację finansową Państwa i samorządów, należy spotęgować wysiłek w walce z bezrobociem, ale należy zgodzić się również z tem, że zarzuty przeciw obecnym formom akcji, powinny opierać się na sumiennym zapoznaniu się z liczbami.

Metoda przyjęta przez Autora artykułu nie pozostaje bez szkodliwych następstw. Wyrazem tego mogą być artykuły w prasie codziennej (Wieczór Warszawski z dn. 28.5. b. r.), oparte na wyliczeniach p. Karpińskiego. Nie przyczynia się to do lepszego zrozumienia sprawy przez społeczeństwo, ale do wytworzenia sądów błędnych i lekkomyślnych, hamujących z pewnością rozwój polityki socjalnej.

s. l.

WITOLD PTASZYŃSKI

DYSONANSE KREDYTOWE I ROLNICZE

W odpowiedzi na artykuł p. Stanisława Orlikowskiego, p. t. „Totalizm kredytowy a rolnictwo" (Gosp. Nar. Nr 9/1937).

W „Gospodarce Narodowej" z dnia 1. maja br. ukazał się artykuł p. Orlikowskiego pt. „Totalizm kredytowy a rolnictwo".

Spróbujemy sprecyzować tezy zawarte w tym artykule i rozpatrzyć dysonanse, jakie dostrzegamy bądź w samych tezach, bądź w zestawieniu ich z rzeczywistością.

Autor pragnąc podkreślić „*konieczność dostosowania organizacji kredytowej do stanu faktycznego*" (gospodarczego) Polski stwierdza, że „organizacyjnie przyjąć należy zasadę terenowej i zawodowej decentralizacji aparatu kredytowego". Precyzuje dalej to twierdzenie mówiąc, że rynek krótkoterminowy wiejski, tj. według autora sieć instytucyj kredytowych komunalnych i spółdzielczych, „wyłączony spod dyspozycji centralnej i niepodlegający drenażowi jego własnych zasobów kapitałowych, zaspokajałby potrzeby lokalne środkami własnymi i lokalnymi wkładami, nie obciążając już swemi potrzebami kredytowemi rynku sztywnego lub źródeł państwowych."

Jaki jest cel takiej izolacji kapitalizacyjno - dystrybucyjnej kredytowej rolnictwa? Odpowiedź na to pytanie powinniśmy znaleźć w dalszych tezach artykułu, to też postaramy się je szczegółowo omówić.

Mówiąc o tzw. „drenażu" autor niezbyt słusznie odnosi go do sieci instytucyj kredytowych komunalnych i spółdzielczych, gdyż w bilansach tych instytucyj sumy lokowane bądź w centralach bądź w innych instytucjach finansowych oraz papiery wartościowe stanowią odsetek niezbyt wielki (6% i respective 14% sumy bilansowej), a w każdym razie znacznie mniejszy (szczególnie w spółdzielniach) od ich zadłużenia bądź na tzw. rynku sztywnym, bądź na rynku funduszów publicznych bądź na innym rynku scentralizowanym (26% i resp. 21% — obliczenie orientacyjne w/g Małego Rocznika Statystycznego). Zatem bez żadnej wątpliwości sieć kredytowa spółdzielcza i komunalna, a wraz z nią i rolnictwo więcej zyskują niż tracą na kontakcie finansowym z innemi instytucjami i funduszami publicznymi, czemu autor zaprzecza w dalszej części swego artykułu.

„Cechą charakterystyczną naszej kapitalizacji jest oparcie jej na masowej oszczędności szerokich mas." Twierdzenie to wymaga uzupełnienia, iż kapitalizacja oparta jest na oszczędności przede wszystkim mas *miejskich* (kapitalizacja w ubezpieczeniach społecznych, wkłady w P. K. O. i w K. K. O.). Tak skorygowane twierdzenie podkreśla jeszcze wyraźniej korzyści, jakie płyną dla rolnictwa z „totalizmu kredytowego" (mówimy o kapitalizacji pieniężnej, gdyż z treści artykułu wynika, że autor taką kapitalizację omawia).

Kapitalizacja koncentrująca się w zakładach ubezpieczeń zużyta została na odbudowę kredytu długoterminowego, przyczem zdaniem autora udział rolnictwa jako kredytobiorcy wynosi w latach 1928 — 1935 88 milionów zł wobec 333 mil. zł innych dziedzin gospodarstwa narodowego. Zdaniem naszym autor ustalił zbyt mały udział rolnictwa w kredycie długoterminowym, ale i ten udział pochodzi z oszczędności ubezpieczeniowych, a więc przeważnie miejskich. Przy ograniczeniu totalizmu kredytowego wieś uzyskałaby zapewne dziesiątą, lub mniejszą część kredytów obecnie jej przydzielonych, a przecież w artykule znajdujemy narzekanie na „*specjalnie ujemne*" skutki nawet obecnego stanu rzeczy. Jak to rozumieć?

Zdaniem autora nastąpił w latach 1928-35 „wzrost wkładów w PKO, przy równoczesnym utrzymaniu

niezmienionej kwoty kredytów (krótkoterminowych), powiększenie wkładów w Państwowym Banku Rolnym przy równoczesnym zmniejszeniu kredytów, oraz szybsze tempo powiększania się wkładów niż kredytów w Komunalnych Kasach Oszczędności". Jedynie w spółdzielczości wzrost kredytów wyprzedził nieco powiększanie się wkładów. — Opierając się zapewne na Małym Roczniku Statystycznym 1936 str. 153. autor nie wziął pod uwagę przemian polityki lokacyjnej w tym okresie. W rezultacie nie jest np. dokładne twierdzenie, iż KKO szybciej zbierają wkłady niż rozdzielają kredyty, gdyż po uwzględnieniu wzrostu pożyczek hipotecznych o około 120 milionów zł w okresie 1928 — 1935 otrzymujemy równomierny wzrost operacyj czynnych i biernych.

Autor stwierdza, iż dyspozycja wkładami staje się bardziej scentralizowana, a ich powrót do lokalnej komórki rozdzielczej powoduje jego zdaniem podrożenie kredytu. Poważna nadwyżka wkładów nad kredytami zostaje zużyta na długofalowe pod względem amortyzacji potrzeby, nie odpowiadające krótkoterminowym wkładom, co jest, również zdaniem autora, sprzeczne z organicznymi zadaniami kapitalizacji.

Centralizacja wkładów w PKO i w KKO jest zrozumiała, gdyż miasta stanowią główny ośrodek kapitalizacji pieniężnej w Polsce. KKO rozdziela napływające wkłady w pożyczkach. PKO część swych zebranych oszczędności przekazuje rolnictwu przez zakup papierów PBR — około 110 milionów tj. 16% odpowiednich lokat na 1.1.1937 — mimo, iż rolnicy stanowią 4,8% posiadaczy książeczek oszczędnościowych PKO, a zaledwie 1,5% uczestników obrotu czekowego. Czy nasza polityka finansowa, w której PKO przedstawia ważki czynnik, jest słuszna, czy nie — stanowi oddzielne zagadnienie. Trudno się jednak zgodzić z twierdzeniem, że lokaty krótkoterminowych oszczędności w długoterminowych papierach są sprzeczne z „organicznymi zasadami kapitalizacji", chyba, że dotychczasową praktykę kas oszczędnościowych na Zachodzie uznamy za sprzeczną z temi zasadami. Oczywiście lokaty takie byłyby sprzeczne z organicznemi zasadami kapitalizacji, gdyby miejsce „totalizmu kredytowego" zajął „indywidualizm", tj. gdyby cyrkulację kredytów ograniczyć do wąskiej grupy zawodowej lub lokalnej.

Scharakteryzowane w poprzednich tezach artykułu tendencje rynku pieniężnego mają się według autora specjalnie ujemnie odbijać na rolnictwie, które nie koncentruje się terytorialnie i posiada coraz bardziej wzrastający charakter jednostkowy, jako podmiot kapitalizacji i zapotrzebowania kredytowego. Już wyżej wspomnieliśmy o niedostatecznym umotywowaniu tej tezy.

Według obliczeń GUS udział rolnictwa w rozdziale kredytu pochodzącego z banków państwowych i komunalnych wynosił w 1933 r. 42%, zaś redyskonto weksli rolniczych w Banku Polskim (wg sprawozdania) — 43%. Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że cyfry te są bezwzględnie wyższe, niż udział rolnictwa w środkach, którymi dysponują wymienione instytucje finansowe. Nic zresztą jaskrawiej nie świadczy o nikłej kapitalizacji pieniężnej naszego rolnictwa, jak jego udział w subskrypcji pożyczek państwowych — udział kilkakrotnie mniejszy od udziału miast. Zresztą nawet udział rolnictwa w dochodzie społecznym, wynoszący 40% (1933), jest raczej mniejszy niż większy od procentu kredytów rolniczych wśród kredytów instytucyj finansowych państwowych i Banku Polskiego.

O spółdzielniach i kasach komunalnych mówiliśmy jużwyżej: korzystają one z dopływu kredytu zzewnątrz, tak, że tem pewniej twierdzić można, iż rolnictwo więcej od nich bierze kredytów, niż im składa swych oszczędności.

Podobna jest sytuacja w bankach prywatnych, które udzieliły rolnictwu (1933) 17% swych kredytów, podczas gdy dopływ oszczędności rolniczych do tych banków należy raczej szacowaj poniżej 17%. Np. w silnie propagowanej i łatwo dostępnej PKO rolnicy stanowią zaledwie 5% wśród posiadaczy książeczek oszczędnościowych.

Należy jeszcze przypomnieć, że kapitały zgromadzone w tejże PKO i w instytucjach ubezpieczeniowych drogą pośrednią dopływają do rolnictwa, mimo, że dopływ oszczędności rolniczych na tym odcinku kapitalizacyjnym jest znikomy. Ponieważ ścisłymi cyrami nie dysponujemy (czy istnieją?) przeto powyższe uwagi mają jedynie charakter oceny, która w sumie utrwala dość rozpowszechnione przeświadczenie, że rolnictwo w Polsce więcej otrzymuje kredytów, niż samo dostarcza oszczędności aparatowi kredytowemu. Twierdzenia tego nie tylko nie obalił analizowany przez nas artykuł p. Orlikowskiego, ale w ogóle nie zawiera on uzasadnień ogólnych i zasadniczych, oprócz apriorycznego twierdzenia, iż tendencje rynku pieniężnego muszą się specjalnie ujemnie odbić na rolnictwie i w konsekwencji doprowadzić do cofnięcia się tempa kapitalizacji i do „nawrotu do indywidualnego użytkowania dochodów w formie inwestycyj nie znajdujących uzasadnienia w ogólnym planie gospodarczym." „Totalizm kredytowy" pozostaje bez związku ze sprawą zahamowania tempa kapitalizacji — a jeżeli uznamy wpływ wysokiej stopy procentowej za rozwój oszczędności, to nawet w konsekwencji musielibyśmy twierdzić, że „totalizm" wzmaga tempo oszczędności, podczas gdy „indywidualizm" powoduje jego zanik.

Kapitalizacja w Polsce opiera się na szerokich masach, „niemożliwe jest przeto przy omawianiu kapitalizacji i kredytu przejście do porządku dziennego nad faktem znacznej przewagi ludności rolniczej, rozproszkowanej terytorialnie i nad faktem jej ilościowego przyrostu", szybszego niż w miastach, który wobec niemożności odpływu będzie w dużym stopniu „podmiotem gospodarczym wiejskim". Teza ta przemawia bardzo dobitnie za potrzebą dopływu kapitału do rolnictwa z poza rolnictwa, a przeciw zamknięciu kapitalizacyjno - kredytowemu tego działu gospodarki narodowej, to jest przeciw tezie, jaką zawiera motto artykułu p. Orlikowskiego.

Ponieważ „zawsze i na całym świecie kapitał powstawał i skutecznie się rozwijał początkowo na zasadach tylko branżowych, z czasem branżowo - zawodowych"... „zgodnie z tem w naszych stosunkach musi więc dojść z czasem do wytworzenia wyspecjalizowanego i samodzielnego aparatu kredytowego rolnego, któryby pod względem organizacyjnym odpowiadał technicznym możliwościom kapitalizacyjnym, a pod względem kredytowym specyficznym potrzebom drobnych gospodarstw rolnych".

Mimo poszukiwań w paru Encyklopediach ekonomicznych i dziełach o kredycie nie natrafiliśmy na ślad takiej teorii rozwoju kredytu, jaką formułuje powyższe zdanie. Powszechnie panuje teoria wręcz odmienna — o kredycie udzielanym różnym grupom branżowym przez zawodowych kredytodawców.

Co do realizacji kredytu i kapitalizacji rolniczej o charakterze zamkniętym i ściśle branżowym, to natrafiłaby ona na olbrzymie trudności związane z sezonowością i masowością zjawisk w rolnictwie. Powstawałyby ogromne skoki w zapotrzebowaniu pieniądza na zamkniętym rynku rolniczym wraz z dalszemi konsekwencjami, dziś wyrównywanemi zmienną sezonowością innych branż.

Motto artykułu p. Orlikowskiego brzmi: *„Wydaje się słuszne, aby z ogólnej zasady centralizacji kredytowej wyłączone zostało rolnictwo, jako odrębny podmiot kapitalizacji.“*

Nie sądzimy jednak, w świetle powyższych rozważań, aby zawarta w nim teza została uzasadniona.

Nie dowiedzieliśmy się, czy rolnictwo traci per saldo na „totalizmie kredytowym“ czy raczej zyskuje? W jakim więc celu zamknąć je należy kredytowo i kapitalizacyjnie? Brak odpowiedzi. A teza o konieczności uwzględnienia przeludnienia rolniczego przemawia wyraźnie przeciw koncepcjom branżowości. Autor podkreśla wprawdzie liczne cechy specyficzne rolnictwa, ale w ten sposób stwierdza tylko fakt niewątpliwy, który z „totalizmem kredytowym“ nic wspólnego nie ma, że aparat finansowy powinien być dostosowany technicznie do właściwości poszczególnych działów gospodarstwa. Jak to zaznaczyliśmy, „totalizm kredytowy“ ułatwia właśnie taką techniczną adaptację.

A gdzie postawić granicę lokalnego i branżowego zaspakajania potrzeb kredytowych poprzez lokalną i branżową kapitalizację? Artykuł nie daje odpowiedzi w tej zasadniczej sprawie (zasadniczej ze względu na charakter głównej tezy).

Nie dziwi nas, że teza o zamknięciu branżowym kredytu i kapitalizacji nie została udowodniona. Teza ta — jeśli nie ma na oku prywatnych interesów, co w danym wypadku jest absolutnie wykluczone — stanowi zaprzeczenie przesłanek ekonomiki społecznej, wspólnych zarówno kapitalistycznemu jak i komunistycznemu.

Gdyby poszczególna grupa gospodarcza obracała nadwyżkę swych dochodów na finansowanie własnych tylko zakładów produkcji, wyniknęłyby stąd następujące konsekwencje:

1° wielkie dysproporcje między możliwą produkcją zakładów a jej zapotrzebowaniem,

2° niemożność powstania całkowicie nowych dziedzin wytwórczości.

— czyli byłyby to zjawiska idące wbrew oczywistym interesom i potrzebom jednostek gospodarujących. Samofinansowanie ma z konieczności rację bytu, gdy odpowiedni kredyt nie dopływa — ale nie ma racji wstrzymywać dopływ odpowiedniego kredytu, aby przeprowadzić samofinansowanie.

Sądzimy, że Polska i rolnictwo są zainteresowane w utrzymaniu „totalizmu kredytowego“.

NOTATKI

MANOWCE ETATYZMU

Dla satysfakcji antyetatystów zwolennik zasadniczy etatyzmu pozwala sobie na taki tytuł. Ale nie tylko dla cudzej satysfakcji, bo w gruncie rzeczy zwolennika etatyzmu manowce tego etatyzmu irytują i bolą, podczas gdy u przeciwnika wywołują Schadenfreude, irytują zaś raczej i bolą posunięcia udane i uzasadnione. W danym wypadku chodzi o drobiazg, mianowicie o osławione T. K. K. T.

Teatr jest działalnością kulturalną ogarniającą pewne lokalne „rynki“ kulturalne, odmienne na poszczególnych terenach. Tereny te są przede wszystkim miejskie a pozatem są one jeszcze ograniczone co do zasięgu ludnościowego. Mianowicie teatr obejmuje swym wpływem stosunkowo wąskie kręgi społeczne i raczej zamożniejsze. Dotyczy to bardziej teatrów miejskich stałych niż objazdowych, obejmujących szerszy teren terytorialny a poniekąd i społeczny. I w tym jednak i w drugim wypadku piecza nad teatrami powinna przypadać samorządom a świadczenia publiczne nie powinny być zbyt duże w stosunku do zamożności klienteli.

Inna sprawa jest z filmem. Kino obejmuje swym wpływem nieporównanie szersze kręgi społeczne i wpływ wychowawczy kina jest przeto znacznie poważniejszym problemem niż teatru.

Są więc wszelkie przesłanki ku temu aby państwo interesowało się wytwórczością filmową w stopniu znacznie większym niż teatrami. Tymczasem państwo wybitnie popiera materialnie koncern teatralny T. K. K. T., który dziś sięga po rozszerzenie swych wpływów na Wołyński Teatr Objazdowy niewiadomo na co i po co. Bo przecież tych specyficznych warunków w jakich pracuje tamta doskonale działająca placówka kulturalna tu w T. K. K. T. nikt dobrze nie zrozumie. To też takie rozciąganie wpływów może tylko szkodzić a nie pomagać.

A film — narzędzie masowej, doprawdy masowej propagandy? Film jest bardziej źródłem dochodów niż przedmiotem propagandy. Jeśli jest chroniony, to jako gałąź produkcji a nie środek oddziaływania społeczno - wychowawczego. Jedyną instytucją czuwającą pod tym względem nad filmem jest cenzura, która określa co ma nie być, nie zaś — co ma być. No i produkcja mniej więcej jest ale treść... poza nielicznymi wyjątkami pożal się Boże! Film jest podobno Sztuką (z dużej litery w odróżnieniu od sztuki robienia kasy), a sztuka, wedle St. Brzozowskiego, to wypowiadanie się narodu o sobie.

Stawiam wniosek konkretny! cofnąć wszelkie subwencje na T. K. K. T. i przeznaczyć je na stworzenie Państwowej Wytwórni Filmowej na takim poziomie technicznym na jaki inicjatywa prywatna finansowa

nigdy się nie zdobędzie i pozwalać prywatnej inicjatywie artystycznej na swobodną twórczość w oparciu o tę wytwórnię. Może ona być deficytową jako przedsiębiorstwo, lecz wpływy z podatku widowiskowego w budżetach samorządowych napewno będą większe od deficytów, czyli, że w sumie publicznej gospodarki finansowej deficytów nie będzie. A dobry polski film może tą drogą powstać.

s.

NORMY

Skład towarowy amerykański w r. 1854 wydał regulamin następujący:

„Sklep ma być otwierany punktualnie o 6 rano i pozostawać otwarty do 9 wieczorem przez cały rok.

Sklep ma być zamieciony; lady, półki i stoły okurzane. Lampy oprawiane i napełniane, kominki czyszczone; pióra zatemperowane; drzwi i okna otwierane. Każdy pracownik ma przynieść przed śniadaniem wiadro wody i kubeł węgla, o ile czas na to pozwala, oraz obsługiwać przychodzących klientów.

Sklep ma nie być otwierany w dzień sabatu, chyba, że jest to niezbędnie konieczne, a wówczas jedynie na niewiele minut.

Pracownik, mający zwyczaj palenia hiszpańskich cygar, golenia się u balwierza, uczęszczania na tańce lub do innych temu podobnych miejsc zabawy, daje pracodawcy powód powątpiewać o swym rozsądku oraz uczciwości.

Każdy pracownik musi płacić nie mniej, aniżeli $ 5.— rocznie na kościół i uczęszczać do szkoły niedzielnej co niedziela.

Pracownicy płci męskiej korzystają z jednego wolnego wieczoru co tydzień dla celów towarzyskich, dwa zaś, o ile uczęszczają regularnie do kościoła.

Po 14 godzinach pracy w składzie, czas wolny musi być spędzany na czytaniu dobrej literatury".

A teraz zastanówmy się: 1854 — 1937 r. 14 godzin pracy na dobę i wprowadzanie 40 godz. tygodnia pracy we Francji, jeden lub dwa wolne wieczory na tydzień dla celów towarzyskich oraz foxtrot: „Umówiłem się z nią na dziewiątą" z filmu „Piętro Wyżej". Wówczas czas „wolny obowiązkowo spędzany na czytaniu dobrej literatury" — dziś wielki przemysł, wielki nie w zaściankowym — polskim, ale w amerykańskim rozumieniu — cały przemysł kinowy, radiowy, sportowy — oparty na wolnym czasie.

I po tem zestawieniu pytanie: Co jest korzystniejsze dla dobrobytu ogólnego, dla bogactwa narodowego: Te 14 godzin na dobę, owo osobiste wnoszenie węgli i wody przez każdego z subiektów, czy czas pracy krótszy.

W układzie „liberalnym", czy jak kto woli „klasycznym", przy małym przedsiębiorcy na dużym rynku, inne są skutki przepisów socjalnych, aniżeli w układzie zamkniętym, o dużych przedsiębiorstwach na małym rynku.

Możeby spróbować podnosić dobrobyt narodu polskiego podnosząc czas pracy do norm 1854 roku? A może lepiej dzielić pracę pomiędzy pracowników w miarę jej zapasu — jak to uczynił ów dyrektor kopalni na Śląsku.

Czas pracy nie jest tabu. Jest taką samą wielkością jak każda inna i może być przyciętą korzystniej lub mniej korzystnie — dla pracowników, dla pracodawców, lub dla ogółu. Wyobraźmy sobie, że norma jednego składu towarowego stałaby się ustawą obowiązującą w U. S. A. Pomijam, że nie byłoby przemysłu filmowego i t. p., ale oczywista, że Stany stałyby się bardziej oligarchiczną republiką niż są obecnie. Układ stosunków społecznych oraz politycznych byłby na całym świecie wręcz odmienny niż jest dzisiaj.

Ale nie dawajmy zbyt wielkiej swobody fantazji. Raczej dawajmy swobodę obywatelom.

s. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54, Tel. 615-56 i 242-40.